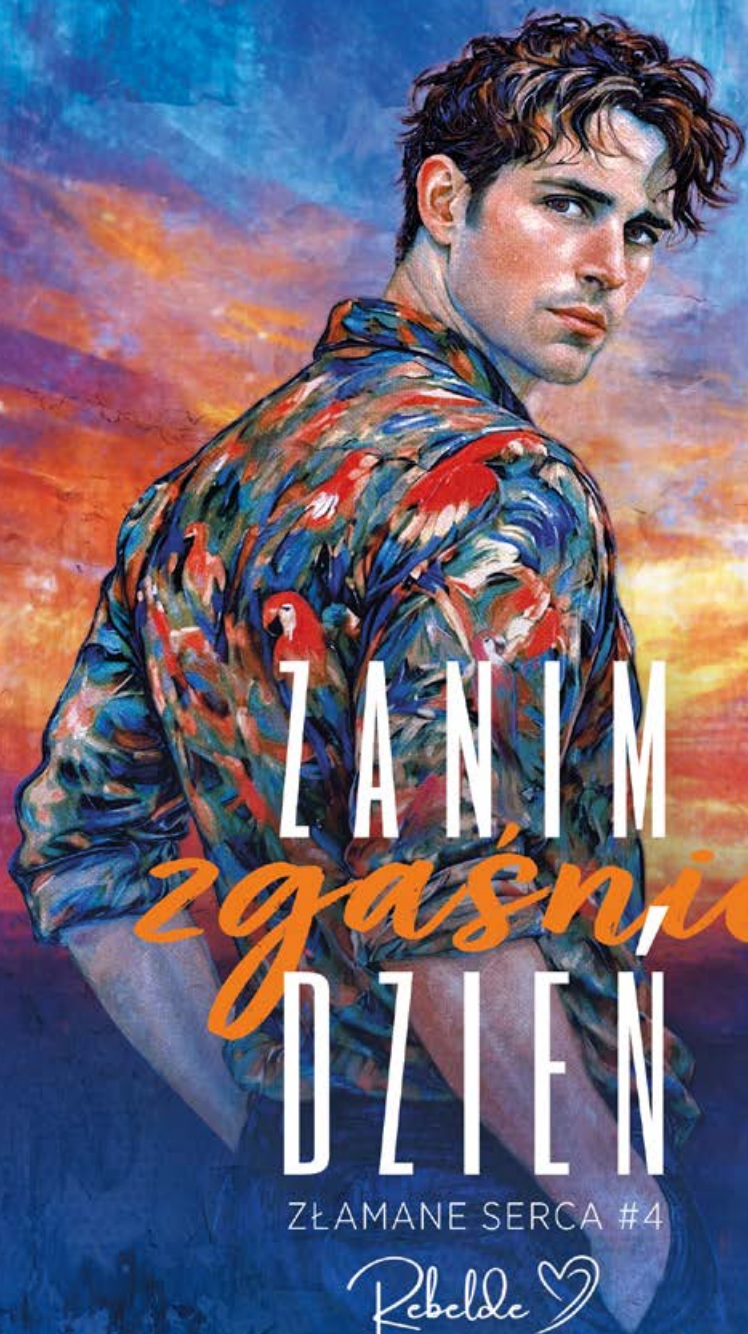


LUNA VELEVITKA



ZANIM
zgaśnię
DZIEN

ZŁAMANE SERCA #4

Rebelle 

WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Luna Velevitka
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @bermetycznie_zamknieta

Grafika na okładce:
Kamil Korzeniowski @korzeniowski.art

Skład:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-88-3

Rebelde 
WYDAWNICTWO

LUNA VELEVITKA

ZANIM
zgaśnię
DZIEN

Rebelde ♡
WYDAWNICTWO



*Dla tych,
którzy czują się
samotni w tłumie...*



Od autorki

Książka przeznaczona jest dla pełnoletnich czytelników i zawiera treści, które mogą być obciążające emocjonalnie. Pojawiają się w niej sceny zbliżeń, trudne relacje rodzinne oraz motyw używek.

Tekst ma na celu ukazanie złożoności ludzkich doświadczeń, a nie ich gloryfikację.

Prosimy o rozwagę przy lekturze i zadbanie o własny komfort psychiczny.



Playlista

Benson Boone – *If You Let Me Love You*

Daisy Gray – *Wicked Game*

David Guetta, Teddy Swims, Tones and I – *Gone Gone Gone*

Disturbed – *The Sound Of Silence*

Ella Henderson – *Yours*

Frank Sinatra – *Fly Me To The Moon*

Frank Sinatra – *My Funny Valentine*

Jack Savoretti – *Candlelight*

NIGHT TRAVELER – *Bad Enough*

Nina Simone – *Feeling Good*

Post Malone – *Silence*

Teddy Swims – *Lose Control*

Prolog

Mason

– Och, Masonie... – Dziadek z wysiłkiem dotknął mojej dłoni. Jego palce były pomarszczone, szczuple i zatrważająco chłodne.

Wciąż nie umiałem się pogodzić z tym, że go tracimy.

– Dziadku... – Głos ugrzązł mi w gardle. Zazwyczaj słowa wypływały z moich ust jak rwąca rzeka, ale teraz nie potrafiłem sklecić nawet zdania.

– Jesteś światłem tej rodziny – powiedział. – Twoja babcia zawsze to wiedziała. Ja... ja również, chociaż mogłeś sądzić inaczej.

Nie chciałem spowiedzi, nie oczekiwałem, by wyznawał mi grzechy swojego życia. Nie mnie, nie człowiekowi, który każdego dnia gnał ku zatraceniu.

– Przestań, proszę. To nie jest czas na takie wyznania, bo...

– Umieram? – Ochryply śmiech wypełnił pokój. – Właśnie dlatego to jest idealny czas, byś mnie wysłuchał. Mój piękny, kolorowy ptaku... – dodał z nostalgią, a moje serce zabiło szybciej niż zazwyczaj. Tylko on mnie tak nazywał i tylko wtedy, gdy byliśmy sami. – Twoje skrzydła nie trzepoczą jak kiedyś, mam rację? Są ciche. Cichutkie. Od dawna ich nie słyszę. – Pokręcił głową. – Nie pozwól, by ci je zabrali. Nie pozwól, by twój ojciec i brat ci je zabrali. By ten podły świat ci je odebrał...

– Ale...

– Życie to spektakl. Moja rola właśnie dobiega końca, ale to nie oznacza, że przedstawienie się kończy. Kocham mojego syna i Olivera, ale... – Urwał, biorąc głęboki oddech. – Masonie, nie daj się zepchnąć ze sceny, słyszysz? – Ścisnął moją dłoń mocniej. – Nigdy nie pozwól, by odebrano

ci główną rolę. Wiem, że jesteś nieszczęśliwy. Czuję to każdą cząstką siebie, ale musisz zrozumieć, że ona nie jest dla ciebie.

Ogromna gula uformowała się w moim gardle. Nie byłem w stanie powiedzieć ani słowa.

– Powinieneś odpocząć – oznajmiłem, wymuszając uśmiech. Przyszło mi to z łatwością, bo przecież robiłem to każdego dnia. Nieustannie. Mason Scott był nadwornym błaznem szanowanej rodziny. Tak było prościej. – Kocham cię.

Wstałem i poprawiłem marynarkę. Dziadek spojrzał na jej materiał i lekko się uśmiechnął.

– Szkoda, że twoja dusza nie jest równie kolorowa – stwierdził smutno.

– Czerń to też kolor. – Pochyliłem się i złożyłem pocałunek na jego czole.

– Będę się tobą opiekował – obiecał.

– Koniecznie, dziadku, koniecznie.

Wycofałem się i wówczas rozdzwonił się mój telefon. Sięgnąłem po niego i, widząc, że to z firmy, prychnąłem pod nosem. Nikt nie zawracał głowy ojcu czy Oliverowi, za to ja byłem traktowany tak, jakby stan dziadka mnie nie interesował.

Odrzuciłem połączenie.

– Wpadnę do ciebie później pod warunkiem, że nie będziesz gadał jak potłuczony.

Henry się roześmiał.

– Będę się pilnował – obiecał. – Trochę.

Przytaknąłem i ruszyłem do wyjścia. Gdy dotknąłem klamki, dziadek znów się odezwał:

– Masonie... Musisz przestać ją kochać. Wiem, że to trudne, ale ona nie jest dla ciebie. Linda nigdy nie odwzajemni twoich uczuć.

Przełknąłem ciężko.

Telefon znów zaczął dzwonić.

Zerknąłem na dziadka przez ramię.

– Wiem o tym...

Rozdział 1

Mason

– Kolano! Kolano! Łokieć! Tempo! Broda do klatki! – Krzyki Ajrana dźwięczały mi w uszach i docierały prawie do trzewi. – Mason! Stop! – warknęła w końcu i to chyba pierwsza emocja, jaka zawładnęła nim dzisiaj-szego poranka. Opuścił tarcze i westchnął. – Co się dzieje?

Rozluźniłem mięśnie karku i przywdziałem na usta szeroki uśmiech. Dokładnie taki, jakim racyłem wszystkich dookoła. Każdego dnia.

– Jest cholerna szósta rano. – Wzruszyłem ramionami. – Nawet mój fiut się jeszcze nie obudził.

Ajran nie wydawał się zaskoczony moją odpowiedzią... ale zadowolony też nie. Zsunął z rąk tarcze i odrzucił je na bok.

– Po co tu przychodzisz? – spytał poważnie, stając w lekkim rozkroku. Mimo przekroczenia sześćdziesiątki wciąż prezentował się całkiem niezłe. – Dobrze się zastanów nad odpowiedzią – dodał, gdy otwierałem usta, by się odezwać.

Zmarszczyłem brwi. Sięgnąłem po leżący na ławce ręcznik i wytarłem nim spoconą twarz, a następnie przewiesiłem go sobie przez bark.

– Trenować, to oczywiste. Nie jesteś aż tak przystojny – dorzuciłem nieco pobłażliwie.

– Nie przychodź więcej.

Słowa Ajrana uderzyły we mnie z siłą huraganu, a uśmiech momentalnie zszedł mi z ust. Trenowaliśmy razem już szmat czasu i byłem pewien, że to będzie trwało znacznie dłużej. Nigdy nie zadawał pytań – stawał

naprzeciwko mnie i pozwalał uderzać, wykrzykując te cholerne komendy. To mi pomagało. Oczyszczало. Koilo. I co? Teraz miałem szukać nowego Ajrana? Nie, wykluczone. Mowy nie ma!

– Co to znaczy? – Uniosłem brwi. Udawanie głupka wychodziło mi perfekcyjnie.

– Dokładnie to, co powiedziałem. Jesteś nieskupiony, nieuważny i chyba niewyspany. Nie treningu ci potrzeba. – Pokręcił głową, a w jego oczach dostrzegłem coś, czego nienawidziłem.

Współczucie.

– Nie mogę mieć gorszego dnia? – rzuciłem prowokująco.

– Nie podczas moich zajęć – odparł oschle, a potem się odwrócił i ruszył prosto do wyjścia.

A ja zostałem sam.

Cisza nigdy nie była moim sprzymierzeńcem, więc lgnąłem do ludzi i miejsc, gdzie hałas był na porządku dziennym. Zatłoczone ulice, knajpy, do których wpadali miłośnicy happy hours, nocne kluby, podejrzane kasyna i bary ze striptizem. Szulernia w Saint Poison. Treningi, podczas których Ajran wrzeszczał polecenia. Nawet biuro rodzinnej firmy Power-Tech wydawało mi się lepszym miejscem od własnego apartamentu, gdzie w upiornym milczeniu można było postradać rozum.

Po prysznicu wymknąłem się z budynku tylnymi drzwiami. Wrzuciłem do bagażnika torbę, a następnie wskoczyłem za kierownicę i spojrzałem we wsteczne lustro. Faktycznie nie wyglądałem najlepiej, ale to dlatego, że od dwóch dni kiepsko sypiałem. Cóż, właściwie wcale. Znów.

Wyjąłem ze schowka telefon i sprawdziłem godzinę. Było wcześnie, ale mimo to postanowiłem, że udam się prosto do biura. O tej porze pewnie nie zastanę tam nikogo, ale poczekam cierpliwie, aż gwar rozmów wypełni korytarze, a nadąsana mina Olivera przywita mnie jak każdego ranka.



– Linda powiedziała, że nie może się do ciebie dodzwonić. – Brat posłał mi jedno z tych idiotycznych spojrzeń, którymi obdarzał niemal wszystkich oprócz Lindy i ich syna, a następnie zajął miejsce naprzeciwko mnie. Zatrzymał wzrok na fikuśnej miniaturowej figurce tancerki hula, która stała tuż obok rodzinnego zdjęcia. – Skąd masz to paskudztwo? – Skrzywił się i wziął ją do ręki, by lepiej przyjrzeć się detalom.

– Od Ethana – skłamałem. Sam ją sobie kupiłem, by udawać, że dostaję różne drobiazgi od przyjaciół...

– Nieważne. – Odstawił przedmiot. – Dlaczego nie odbierasz telefonów od mojej żony?

Oliver z łatwością nazywał Lindę żoną, mimo że przecież nadal nią nie była. Nie oświadczył się, chociaż Henry miał już sześć lat.

– Linda nie jest ani twoją żoną, ani moją opiekunką – stwierdziłem, wzruszając ramionami, i otworzyłem laptopa, gotowy, by zająć się nudną pracą. Z każdym dniem moje poczucie wypalenia tą firmą przybierało na sile i zastanawiałem się, kiedy osiągnie punkt krytyczny.

Oliver sięgnął po chusteczkę i dokładnie wytarł nią dłonie, jakby biibelot z lotniska miał go czymś zarazić. Naprawdę go nie rozumiałem. Lubiłem drobiazgi i pamiątki. Myślę, że to babcia zaszczepiła we mnie chęć zbierania wszystkiego, co może przywoływać pozytywne wspomnienia. Nie udało jej się to z Oliverem, który był na to zbyt zimnym draniem, ale ja? Zawsze czułem dziwną potrzebę otaczania się tym, co dobrze mi się kojarzy. Tancerkę kupiłem, ponieważ przypominała mi o Hawajach, a te z kolei o żonie i córce Ethana Moore'a.

– Pamiętasz o spotkaniu? – Oliver wstał i poprawił idealnie dopasowaną granatową marynarkę. Posłał mi też znaczące spojrzenie, którego szczerze nienawidziłem. Było w nim coś karcącego i ostrzegawczego. Mój brat zachowywał się, jakby uważał się za mądrzejszego ode mnie. To nie była prawda.

– Tak. Bar ze striptizem na rogu Rivington i Ludlow Street, dokładnie o północy – odparłem całkiem poważnie tylko po to, by go wkurzyć.

Doskonale pamiętałem o spotkaniu biznesowym, na którym miałem zastąpić Olivera. Zawaliłem w życiu naprawdę wiele spraw, ale nigdy nie dałem plamy, jeśli w grę wchodziła firma.

Pokręcił głową i wyszedł.

Wówczas nastąpiła cisza, którą przerywały tylko przeskakujące wskazówki dużego zegara zawieszzonego na ścianie. Natychmiast poderwałem się z miejsca. Prężnym krokiem podszedłem do drzwi i otworzyłem je na oścież. Świat ruszył. Wciąż jakby obok mnie, ale ruszył, działał dalej.



Po spotkaniu z idiotą, z którym mieliśmy podpisać kontrakt, wróciłem do domu. Zrzuciłem z siebie ubrania i kompletnie nagi podszedłem do barku, gdzie od razu nalałem sobie alkoholu. Włączyłem również muzykę, by wypełnić jej dźwiękami nieznośną ciszę, a potem opadłem na kanapę i sięgnąłem po telefon. Wertując listę kontaktów, szukałem choćby jednego numeru, pod który mógłbym zadzwonić, by zamienić z kimkolwiek parę słów. Jak zwykle zatrzymałem się przy imieniu Lindy. Zawahałem się tylko przez moment, a potem mój palec przeslizgnął się po ekranie, by nawiązać połączenie.

- Mason? – odezwała się.
- Cześć, maleńka...
- Coś ważnego? Właśnie miałam kłaść Henry'ego do łóżka i poczytać mu bajkę.
- Nie, w sumie to nie. Zastanawiałem się tylko, czy... – Urwałem, gdy po drugiej stronie rozbrzmiał głos mojego brata.
- Poczekaj chwilkę, dobrze? – Linda zwróciła się do mnie, a sekundę później słyszałem już tylko szepty. Wkurzony Oliver pytał, czego od niej chce.

Samolubny sukinsyn.

Gdyby mój brat wiedział, czego naprawdę chcę od jego kobiety, pewnie by mnie zabił. Dlatego milczałem, udawałem i cierpiałem, ciesząc się jedynie z krótkich rozmów z nią, spotkań na lunch, gdy akurat znalazła

czas, i z uroczystości w gronie rodziny, podczas których mogłem bezkarnie się na nią gapić. I czuć, że coś znaczę.

– Przepraszam, ale twój brat bywa naprawdę wścibiśki – powiedziała rozbawiona. – Coś się stało? Dziwnie brzmiś.

– Zastanawiałem się tylko... co kupić Henry'emu na urodziny. – Wy-myśliłem to na poczekaniu, bo nie mogłem przecież powiedzieć, że chcia-łem usłyszeć jej głos. To byłoby żenujące.

– Och... – Linda się roześmiała. – Czy ja wiem? Myślę, że wystarczy mu twoja obecność. Wiesz, że cię uwielbia.

Henry uwielbiał mnie, a ja kochałem jego. Czystą, niczym niezmaconą i szczerą miłością, na jaką zasługuje każde dziecko. Dość często wyobraża-łem sobie, jak by to było, gdybym pewnego dnia został ojcem – i ta myśl za każdym razem napełniała mnie przyjemnym ciepłem. „Tata”. Można usłyszeć coś piękniejszego?

– W takim razie będę musiał coś wymyślić. – Westchnąłem. – Jesteś bezużyteczna – zażartowałem, na co Linda zachichotała. *Kurwa, mógłbym tego słuchać na okrągło.*

– Pewnie masz rację. Jeśli chcesz, możemy jutro wyskoczyć na lunch. Mam wolną godzinkę.

– Jasne. Zdzwonimy się?

– Odezwę się. Do zobaczenia.

Rozłączyłem się z myślą, że chciałbym słyszeć jej „Dobranoc” wyszep-tane do ucha.

Poczuć to, co czuje mój brat każdego wieczoru i w każdej pieprzonej minucie swojego życia.

Chciałbym żyć jak on.

Odrzuciłem telefon i opróżniłem szklankę. Było późno, ale nie na tyle, bym mógł zasnąć, dlatego poszedłem prosto pod prysznic, a później udałem się do garderoby. Przez chwilę przekładałem wieszaki, aż w końcu zdecydowa-łem się na różową koszulę i jeansy. *Cholera, nieznośnie nudno jak na mnie.*

– Naprawdę, kurwa, nuda... – wymamrotałem, ale mimo to ruszy-łem do wyjścia.



Jeśli dudniące w piersi pierwsze dźwięki *Lose Control* Teddy'ego Swimsa nie były tym, czego potrzebowałem, to niech mnie szlag trafi. Powietrze w klubie było gęste, ciężkie i duszne, a zapach perfum mieszał się z wonią alkoholu.

Usiadłem przy barze. Niemal natychmiast obok mnie pojawiła się długonoga blondynka w obcisłej kiece. Posłałem jej szeroki uśmiech, proponując drinka w łoży, a potem zaprowadziłem na górę. Doskonale znałem takie kobiety. Łaknęły emocji i uwagi, a ja potrafiłem dawać i jedno, i drugie.

– Szefie. – Ochroniarz, którego mijaliśmy, kiwnął mi głową na przywitanie, a ja starym zwyczajem uściśniłem mu dłoń i poklepałem go po plecach. Lubilem gościa.

– Szefie? – zaszczębiotała moja towarzyszką, gdy weszliśmy do przestronnego pokoju, który skromnie nazywałem łożą. W rzeczywistości było to pomieszczenie, w którym ztracałem się niemal każdej nocy. Te ciemne ściany widziały niejedno. Od moich wlotów po upadki.

Gestem zaprosiłem, by usiadła, a sam nalałem nam po drinku. Zbyt intensywny zapach jej perfum wywoływał u mnie mdłości, ale zignorowałem to uczucie i po chwili zająłem miejsce obok niej.

– Jak masz na imię? – wymruczałem, pocierając nosem jej policzek.

– Tally – odparła i upiła łyk alkoholu. Nie umknęło mi, że na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. – A ty?

– Mason.

Przez kilka chwil przyglądałem się, jak popija alkohol, a potem ostrożnie zabrałem jej szklankę i odstawiłem na stolik. Czubkiem języka dotknąłem kobiecej szyi. Kreśliłem mokrym koniuszkiem wzory na delikatnej skórze, czując, jak Tally zaczyna drżeć. Jej oddech przyspieszył, a przez cienki materiał sukienki dostrzegłem sterczące sutki. Moje palce natychmiast zawędrowały w tamto miejsce.

– Ugh... – sapnęła, wierząc się w miejscu.

– Twarde... – mruknąłem z uznaniem i uszczypnąłem jeden z nich, wciąż liżąc jej skórę. – Jak mój kutas. Chcesz sprawdzić, skarbie?

Zawahała się, ale w końcu pokiwała głową, kiedy tylko zassałem skórę. Byłem pewien, że gdy jutro spojrzę w lustro, ujrzę na niej intensywnie różowy ślad mojego zainteresowania.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Oboje byliśmy nadszy i pieprzyliśmy się na kanapie. Siedziałem z rękami szeroko rozłożonymi na oparciu, a Tally ujeżdżała mnie z pasją.

Spojrzałem w jej zielone, zamglone pożądaniem oczy i wyobraziłem sobie, że są brązowe.

Dotknąłem jej jasnych włosów, wmawiając sobie, że są ciemne.

Udawanie weszło mi w nawyk tak bardzo, że czasem sam się w tym zatracąłem.



– Przepraszam za spóźnienie. – Linda usiadła naprzeciwko mnie i zamówiła wodę, gdy błyskawicznie podszedł do nas ktoś z obsługi.

Spojrzałem na nią, unosząc jedną brew, i sięgnąłem po moją kawę.

– Zrezygnowałam z kawy – wyjaśniła. – Jak się miewasz? – Odłożyła torebkę i poprawiła fryzurę.

Wyglądała ślicznie. Ktoś mógłby powiedzieć, że to za sprawą eleganckich ubrań czy perfekcyjnego makijażu, ale ja uważałem, że nie o to chodziło. Linda błyszczała czymś niematerialnym – pieprzonym szczęściem.

– Zrelaksowany. Wczoraj na przykład...

– O nie! – Pokręciła głową, chichocząc. Jej oczy rozbłysły blaskiem, który mógłbym podziwiać każdego dnia. – Nie chcę słuchać, co zrobisz jakiejś biednej dziewczynie.

Przyłożyłem dłoń do serca.

– Wcale nie była biedna – zaprotestowałem. – Raczej dość... radosna.

– Wierzę. Dlaczego nie było cię w zeszły piątek na kolacji? Isabell wydawała się zmartwiona.

Kelner przyniósł dla niej wodę. Linda podziękowała i uśmiechnęła się do niego promiennie, a gdy się oddalił, znów utkwiała we mnie wzrok.

– Co się dzieje? – spytała, poważniejąc.

Czasem to, że znała mnie tak dobrze, było moim przekleństwem. Udawanie przed całym światem przychodziło mi łatwiej niż przed nią.

– Wiem, że ostatnio nie mam dla ciebie zbyt wiele czasu, ale jeśli coś się dzieje, możesz mi powiedzieć, Masonie. Jesteśmy przyjaciółmi.

Wymusiłem uśmiech.

– Nic się nie dzieje, maleńka. Ostatnio mam trochę więcej pracy.

Nie powiedziałem jej, że Saint Poison w jednej trzeciej należy do mnie i pochłania znacznie więcej mojej uwagi niż rodzinna firma. To była moja mała tajemnica, którą nie zamierzałem się dzielić z nikim. Matka pewnie skrzywiłaby się z odrazą, uznając, że to mi nie przystoi, ojciec z miejsca by mnie skrzytykował, a Oliver wyśmiał. Nienawidziłem takiego traktowania.

– Ale będziesz na urodzinach Henry’ego? – upewniła się.

– Oczywiście. Nie mógłbym tego przegapić.

Kiwnęła głową i napiła się wody. Zdecydowanie jej ulżyło.

– Jak fundacja? – Słyszac to pytanie, rozpromieniła się natychmiast. – Opowiadaj – zachęciłem ją, ciekawy postępów.

Linda z radością dzieliła się ze mną szczegółami – do momentu, gdy zadzwonił jej telefon. Zmarszczyła brwi i sięgnęła do torebki po komórkę. Krótkie spojrzenie na wyświetlacz wystarczyło, by jej usta ułożyły się w olśniewający uśmiech, który był zarezerwowany wyłącznie dla jednej osoby. I nie byłem to ja.

– Tak, kochanie? – odebrała. – Och... Dobrze, już jadę. Mhm... Możemy. – Przez chwilę przysłuchiwała się temu, co Oliver ma jej do powiedzenia, a potem się rozłączyła i zrobiła smutną minę. Sięgnęła też przez stolik, by dotknąć mojej dłoni. – Wybacz, Masonie. Muszę pędzić. Zobaczmy się innym razem. – Wstała pospiesznie i na pożegnanie pocałowała mnie w policzek, a potem wybiegła z restauracji.

– Innym razem... – powiedziałem do siebie. – Zawsze, gdy będziesz chciała...

Rozdział 2

Ana Grace

Spojrzałam na siedzącego obok piętnastolatka, który odkąd tylko wsiadł do auta pięć minut temu, zdążył fuknąć ostentacyjnie jakieś siedemdziesiąt razy. Ręce skrzyżowane miał na klatce, a wzrok utkwniony za szybą. Wmawiałam sobie, że obserwuje sportowy wóz jadący obok, ale prawda była taka, że nie chciał patrzeć na mnie.

– Jak minął dzień, kochanie? – Zatrzymałam auto na światłach i sprawdziłam godzinę. *Cudownie, jeśli dalej będziemy poruszali się w takim tempie, nie zdążę na czas do gabinetu.* – Wszystko w porządku?

– Nic nie jest w porządku – burknął pod nosem.

Trudno powiedzieć, dlaczego wciąż się łudziłam, że okres buntu w jakiś magiczny sposób ominie naszą rodzinę i nie będę musiała doświadczać tego, co moja mama z piątką dzieciaków. Chyba byłam naiwna.

– Jeśli coś się dzieje, porozmawiam z panną Dwyer i z pewnością...

– Ty nic nie kumasz, co? – W końcu Josh na mnie zerknął. Mięsień na jego szczęce drgnął, a w oczach oprócz złości dostrzegłam też żal. To moja wina, że znalazł się w takiej sytuacji. I to bolało znacznie bardziej niż jakikolwiek cios.

– Chciałabym, ale musisz mi na to pozwolić. – Światło zmieniło się na zielone, więc ruszyłam. – Wiem, że ta szkoła być może nie jest...

– Nic nie wiesz – przerwał mi. – Nic nie wiesz, mamu. Nie rozumiem, dlaczego nie mogłem zostać w Scarsdale z tatą – jęknął. – W czym Brooklyn jest dla mnie lepszy, co?

– Rozmawialiśmy o tym, Josh. Ja i tata się rozwiedliśmy i postanowiliśmy, że...

– Mam gdzieś, że się rozstaliście. Zabrałaś mnie z naszego domu, ze szkoły i od moich przyjaciół! Nie masz prawa pieprzyć, że rozmowa z panną Dwyer zmieni cokolwiek, bo tak się nie stanie!

– Wyrażaj się, młody człowieku! – rzuciłam, z trudem powstrzymując płacz. Nigdy nie okazywałam słabości przy synu. Właściwie, odkąd się gałam pamięcią, pozwalałam sobie na łzy jedynie wtedy, gdy byłam sama. Nie chciałam, by Josh widział mnie kompletnie załamana, a Richardowi po prostu nie zamierzałam dawać satysfakcji. – Kocham cię i, wierz lub nie, ale robię wszystko, byśmy jakoś ułożyli sobie życie. Mnie też jest trudno.

Żadne z nas nie powiedziało już nic więcej. Josh wrócił do gapienia się przez okno, z kolei ja skupiłam się na drodze, modląc się w duchu, by zdążyć na sesję z pacjentką. Nie mogłam pozwolić sobie na potknięcia, gdy zaczynałam tutaj praktycznie od zera. Dotychczas prowadziłam praktykę w Scarsdale, w gabinecie urządzonym specjalnie dla mnie w domu. Ale tamto życie zostawiłam już za sobą, dlatego praktyka na Brooklynie to był mój pierwszy krok, gdy podjęłam decyzję, że odejdę od Richarda. Całkiem możliwe, że bardzo chciałam udowodnić mu, że poradzę sobie bez niego.

Zaparkowałam niedaleko ceglanej kamienicy, w której wynajmowałam niewielką przestrzeń. Codziennie w duchu dziękowałam rodzicom za pomoc finansową, gdy na start musiałam wpłacić kaucję i podremontować lokal. Josh przypominał w tej chwili gradową chmurę, ale wciąż powtarzałam sobie, że to minie. Kochał ojca i nie mogłam go winić, że za nim tęskni – że tęskni za dawnym życiem.

Gdy tylko zgasiałam silnik, natychmiast wysiadł z auta i, nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku wejścia do budynku, po drodze kopiąc ze złością kamień. Przez chwilę przyglądałam się jego gniewnym krokom, aż w końcu ja również wysiadłam.

– To minie... – powiedziałam do siebie.

Wszystko, co złe, kiedyś mija. Uczepiłam się tej myśli, bo napawała mnie nadzieją.



– Powinnaś się wyluzować. – Margaret oparła się biodrem o kuchenną szafkę i sięgnęła po kieliszek z winem.

Postanowiła wpaść do mnie z niezapowiedzianą wizytą, by poprawić mi humor. Gdy spytałam, skąd pomysł, że mój humor jest zły, odparła, że nie wiem w ostatnim czasie dobrych. Cóż, racja.

– Jestem matką. Już nigdy nie będę wyluzowana – odparłam, obracając w palcach nóżkę od kieliszka. Trunek znajdujący się w środku lekko się zakotywał.

– I co z tego? – prychnęła. – Jesteś gorącą mamuszką i zasługujesz na odrobinę przyjemności. Josh nie ma pięciu lat. To nastolatek. Teraz sądzisz, że tak powinna wyglądać twoja codzienność, ale za kilka lat się obudzisz i stwierdzisz, że twój dorosły syn ma swoje życie, a ty wciąż tkwisz w na prawdę posranej rzeczywistości. Nie chcę cię wtedy oglądać. – Skrzywiła się i jednym lykiem opróżniła szkło, a następnie sięgnęła po dolewkę.

– Josh jest wściekły, że nie mieszka z ojcem.

– Nie byłby, gdyby miał pojęcie, jaki sukinsyn go spłodził.

– Nie chcę do tego wracać, poważnie. Chcę żyć. Po prostu.

– Rozwiedliście się pół roku temu. – Margaret odstawiła alkohol i usiadła obok mnie. Zaciętość w jej spojrzeniu zmieniła się w coś miękkiego, przypominającego współczucie. – Żyjesz jak zakonnica – wytknęła mi.

Przewróciłam oczami. To zdanie padało z jej ust dość często i miało na celu zmusić mnie do wyjścia z domu i znalezienia mężczyzny, który „spełniałby moje seksualne zachcianki”, których nawet nie posiadałam.

– Mam syna.

– I waginę, która potrzebuje towarzystwa. Kiedy ostatni raz ktoś ją odwiedził?

– Jezu... – Pochyliłam się i przytknęłam czoło do chłodnego blatu, po czym westchnęłam ciężko. Kumpłowanie się z Margaret byłoby znacznie prostsze, gdyby czasem umiała się powstrzymać od mówienia tego, co myśli.

– Wiesz, że mam rację. – Poczułam na plecach jej dłoń, którą wykonywała powolne i koliste ruchy. – Nikt nie każe ci się wiązać z kolejnym mężczyzną, ale nie możesz tak żyć. Jesteś lekarką, zapewne wiesz, że brak regularnych orgazmów prowadzi do nieodwracalnych zmian w mózgu.

– Powinnaś już iść – wymamrotałam.

– Powinnaś kogoś bzyknąć, Ana.

– Idź już, na Boga – jęknęłam z głową wciąż opartą o wyspę.

Margaret wstała i, śmiejąc się jak wariatka, zarzuciła na siebie swój gruby, wzorzysty sweter, a następnie ruszyła do wyjścia, mamrocząc pod nosem coś o tym, że jestem milfem. A ja zostałam sama z tymi wszystkimi idiotycznymi myślami, które wciąż zalewały mój umysł. Same pytania, żadnych odpowiedzi.

Posprzątałam kieliszki, a niedopite wino wstawiłam do lodówki. W drodze do łazienki zajrzałam jeszcze do pokoju Josha. Spał. I nawet wtedy był irytująco podobny do swojego ojca. Prosty nos, pełne usta i kręcone, niemal czarne włosy. Ten dzieciak nawet w jednym procencie nie przypominał mnie. Pieprzone geny Callowayów. W końcu się wycofałam i poszłam prosto pod prysznic, by zmyć z siebie to, co pozostawił na mojej skórze kolejny parszywy dzień. Możliwe, że razem z wodą po mojej twarzy spłynęło też kilka łez.

Następnego ranka Josh był wyjątkowo milczący. Nie miałam pojęcia, czy wynikało to z naszej kłótni, czy może znów rozmawiał z ojcem. Richard był świetnym kardiologiem, ale niestety jeszcze lepszym manipulatorem. Po każdej rozmowie z nim syn przez kilka dni zachowywał się wobec mnie inaczej.

– O której kończysz? – spytałam łagodnie i wgrzyłam się w tost posmarowany masłem orzechowym oraz dżemem. – Nie wiem, czy zdążę po ciebie przyjechać, mam dziś pacjentów do późna.

– Luz. – Josh wzruszył ramionami, nawet na mnie nie patrząc. – Wróć sam.

– Wpadniesz do gabinetu?

– Raczej nie – mruknął, sięgając po sok.

- Moglibyśmy pójść gdzieś wspólnie na obiad.
- Nie chcę, może innym razem. – Wstał i ruszył do wyjścia, nawet na mnie nie patrząc.

Powinłam zwrócić mu uwagę, że nie posprzątał po sobie talerza, ale uznałam, że byłoby to jak dolewanie oliwy do ognia.

Spędziłam w domu jeszcze pół godziny, a potem pojechałam prosto do pracy.

Okolica, w której znajdował się mój gabinet, wydawała się wręcz bajecznie piękna. Mnóstwo zieleni, rzeźbione fasady budynków, urokliwe kawiarnie, sklepy i piekarnie. Ciszka, spokój. Czyli dokładnie to, czego było mi potrzeba. Na trzecim piętrze jednej z kamienic przy Montague Street miałam do dyspozycji dwa przechodnie pomieszczenia. W pierwszym urządziłam przytulną poczekalnię z mnóstwem roślin oraz miejsce dla Brie, mojej asystentki, w drugim zaś znajdował się gabinet, gdzie przyjmowałam pacjentów. Umieszczona na drzwiach złota plakietka z wygrawerowanym moim nazwiskiem była jak wisienka na torcie i każdego dnia niezmiennie napawała mnie ogromną dumą. Po latach życia w cieniu utalentowanego męża w końcu mogłam zabłysnąć. Stałam się „doktor Whitlow”, a nie tylko „żoną doktora Callowaya”. To przyjemna odmiana, z którą niestety zwlekałam zbyt długo.

– Brie, dzień dobry. – Uśmiechnęłam się na widok drobnej brunetki za biurkiem.

Pracowała ze mną od dwóch miesięcy. Zatrudniłam ją, ponieważ papierkowa robota odrobinę mnie przerastała, a ta dziewczyna okazała się naprawdę świetna. Była bystra i sumienna.

– Ana! Jesteś dziś wcześniej – zauważyła, unosząc idealnie wypielegnowaną ciemną brew. Sięgnęła po plik kopert i wręczyła mi je.

– Mam kilka rzeczy do nadrobienia, zanim pojawi się pierwszy pacjent. – Pobieżnie przejrzałam pocztę, stwierdzając, że są to głównie reklamy i w zasadzie nadają się jedynie do wyrzucenia.

Brie przyglądała mi się uważnie, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Coś się stało? – Zerknęłam na nią.

Pokręciła głową, a ja ruszyłam do gabinetu.

– Tylko się na mnie nie gniewaj! – zawołała za mną.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, dopóki nie otworzyłam drzwi. Na szklanym stoliku czekała na mnie niespodzianka – ogromny bukiet. Czerwone róże, których zapach wypełniał pomieszczenie i drażnił nos. Momentalnie na mojej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia, bo te kwiaty przysłał oczywiście mój były mąż. Myślałam, że w końcu da sobie spokój, ale najwidoczniej uznał, że lata spędzone u jego boku to za mało, bym miała go dość.

– Brie? – jęknęłam. – Dlaczego ich nie wyrzuciłaś?

Po pierwszym bukietcie, który przysłał Richard, poprosiłam moją asystentkę, by nigdy więcej nie przyjmowała żadnych upominków od niego, ale – jak widać – miała to gdzieś. Brie była niepoprawną romantyczką, która nie wiedziała, jaki był powód mojego rozwodu, dlatego wydawało jej się, że w ten sposób przyczyni się do ponownego wybuchu wielkiej miłości między mną a Richardem.

– Nie gniewaj się, są takie piękne – zaszczębiotała. – Wiem, wiem, nie chcesz ich, ale...

– Brie... – wzięłam głęboki oddech – ...zabierz je stąd. Proszę.

Dziewczyna szybko kiwnęła głową i po chwili ulotniła się razem z tymi cholernymi chabaziami. Niestety ich zapach wciąż unosił się w pomieszczeniu, dlatego natychmiast otworzyłam okno na oścież. To nie tak, że nie lubiłam kwiatów, ale czerwone róże wywoływały we mnie wspomnienia związane z Richardem, a chciałam się ich pozbyć.

Mniej więcej w porze lunchu do gabinetu wparował Josh. I pewnie by mnie to ucieszyło, gdyby nie gigantyczny siniak na jego twarzy.

– Chryste, Josh! – Zerwałam się z miejsca i w dwóch krokach znalazłam tuż przy nim. Chwyciłam jego twarz w dłonie, by lepiej mu się przyjrzeć. – Josh...

– Nic mi nie jest – mruknął, a po chwili się skrzywił. – Tylko trochę piecze.

– Co ci się stało? – Pomogłam mu usiąść i kucnęłam przy nim. – Boże, Josh... Coś ty narobił...?

– Ja? A nie pomyślałaś, że to nie jest moja wina? Tylko tej cholernej szkoły?! – wrzasnął. – Nienawidzę tego miejsca. – Spojrzał mi w oczy. Nie kłamał. – Nienawidzę.

Pozwoliłam mu pojechać do domu, chociaż wołałabym go mieć na oku. Nie powiedział, co się wydarzyło, ale miałam zamiar wrócić do tej rozmowy.

Gdy ostatni pacjent opuścił gabinet, wybrałam numer wychowawczyni Josha.

– Pani Calloway. – Panna Dwyer odebrała po trzecim sygnale. Słyszałam przeraźliwy wrzask jej pupili. Zazwyczaj nie oceniałam ludzi, ale sześćdziesięcioletnia singielka, która mieszkała z kilkoma kotami, raczej nie wzbudzała mojego zaufania w kwestii porad rodzicielskich. – Miałam do pani telefonować.

– Whitlow – poprawiłam ją. – Proszę mi powiedzieć, co się dziś wydarzyło. Mój syn wrócił ze szkoły posiniaczony. Naprawdę się staram, by jakoś...

– Josh wszczął bójkę – oznajmiła. – Pobił kolegę z klasy. Podobno już wcześniej dochodziło między nimi do jakichś przepychanek, ale dziś... no cóż, zdaje się, że problem eskalował.

– Wcześniej? Jak to? Chryste... – Odchyliłam głowę i zatrzymałam wzrok na suficie. Josh ani słowem nie wspomniał, że ma z kimś problemy. Owszem, narzekał na szkołę i nauczycieli, ale sądziłam że jest po prostu zły, bo musiał się przeprowadzić.

– Powinna się pani pojawić w szkole. Wiem, że jest pani psychologiem, ale najtrudniej pomaga się bliskim. Poza tym musimy omówić, jak Josh nadrobi zaległości.

– Zaległości? – Usiadłam prosto.

– Tak, ominęły go dwa duże projekty w grupach. Tydzień nieobecności to całkiem sporo, ale cieszę się, że już wyzdrowiał.

Tydzień. Nie było go w szkole przez tydzień...

Wzięłam głęboki oddech, starając się zabrzmieć swobodnie.

– Czy powinnam przesłać jakieś... zaświadczenie od lekarza?

Powinnaś dać gnojkwowi szlaban!

Ale tego nie zrobisz.

– Och, nie, pan Calloway już się wszystkim zajął. Na przyszłość proszę pamiętać, że nieobecność ucznia zgłaszamy natychmiast.

Przez kolejne kilka minut panna Dwyer opowiadała mi o możliwych formach wsparcia, jakie oferuje dzieciom szkoła, a ja po prostu przytakiwałam, by jak najszybciej się rozłączyć, bo o tym wszystkim wiedziałam, wielokrotnie współpracowałam z pedagogami szkolnymi, gdy prowadziłam terapię dla dzieci.

Kiedy się pożegnaliśmy, od razu wybrałam numer Richarda.

– Grace, kochanie – odezwał się uprzejmie, a ja, słysząc ten ton, poczułam przebiegające po kręgosłupie ciarki. – Coś się stało?

– Powiedziałeś, że kochasz Josha... – Nic nie mogłam poradzić na to, że mój głos się załamał, a do oczu napłynęły łzy.

– Kocham was oboje.

– Przestań – syknęłam. – Rozmawiałam z jego wychowawczynią. Gdybyś go kochał, nie zachowałbyś się w ten sposób.

– Och, o to chodzi – rzucił lekceważąco, jakbym poinformowała go o pogodzie. – Josh chciał odpocząć.

– On musi chodzić do szkoły.

– Mój syn cierpi, Grace. Ja cierpię. Jestem pewien, że ty również, ale jesteś zbyt uparta, by się do tego przyznać. Ten wyjazd do Nowego Jorku był skrajnie nierozsądny i tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że potrzebujesz pomocy, kochanie. Josh cię znienawidzi, to tylko kwestia czasu.

– Wiesz co? Pieprz się!

Rozłączając się, słyszałam śmiech Richarda.

– Pieprz się, draniu... – wymamrotałam pod nosem, czując, jak po policzkach spływają mi łzy.

Rozdział 3

Mason

– Cześć, okruszku – przywitałem się i położyłem na niewielkiej płycie z brązu białego misia z czerwoną kokardą na szyi. Zabrałem też tego, który leżał tu od mojej ostatniej wizyty i wyglądał, jakby ktoś wyciągnął go z kanału ściekowego. – Wujek Mason przyniósł ci coś ekstra. Ten jest ładniejszy niż poprzedni.

Usiadłem na wąskiej, drewnianej ławce, którą wykonano na polecenie mojej matki. Charlotte, dawna dziewczyna Olivera, i jej rodzice przyjeżdżali tutaj raz w roku, w rocznicę śmierci małej Lily, ale Isabell Scott była bardziej sumienna i pojawiała się raz w tygodniu, nikomu o tym nie wspominając. Tak właściwie ja też się tym nie chwaliłem. Dowiedzieliśmy się o tych naszych potajemnych wizytach zupełnie przypadkiem, gdy zamiast na lunch przyjechałem na cmentarz, choć zazwyczaj bywałem tutaj rano. Matka siedziała wtedy na ławce i gapiała się w płytę, co chwila ocierając zły.

Tylko Oliver nie potrafił się przemóc.

Gdy córka mojego brata przyszła na świat, byłem gówniarzem, ale doskonale pamiętam dzień, w którym zmarła. I każdy następny – pełen bólu, rozpacz i cierpienia. Coś się wtedy zepsuło w naszej rodzinie, ale wszyscy udają, że tak się nie stało.

– Jesteś. – Mama usiadła obok mnie i uśmiechnęła się na widok nowego misia. – Piękny, Masonie. Naprawdę prześliczny.

Kiwnąłem głową i pozwoliłem jej pocałować się w policzek.

– Przestałeś nas odwiedzać. Co się dzieje?

– Nic. Jestem zajęty – odparłem. Minąłem się z prawdą, ale zaledwie o cal, więc nie mogłem uznać tego za kłamstwo.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio jedliśmy wspólnie kolację. Henry wciąż o ciebie pyta.

Na wspomnienie bratanka na moich ustach pojawił się szeroki uśmiech. Czy byłem idiotą, marząc o dużej rodzinie i gromadce dzieci? To był mój cel. Rodzina i szczęście.

– Pojawię się na jego urodzinach. Przecież to oczywiste, że wasze prezenty będą beznadziejnie edukacyjne i cholernie nudne. Ktoś musi pokazać temu dzieciakowi, co oznacza prawdziwa zabawa.

Pokręciła głową, nie kryjąc rozbawienia. Przynęła się do mnie i oparła mi głowę na ramieniu. Potem żadne z nas już nic nie mówiło. W kompletnej ciszy spędziliśmy niemal godzinę, po upływie której mama wstała i poczochrąła mnie po włosach, jakbym był niesfornym kilkulatkiem.

– Mogę liczyć, że wpadniesz jutro na kolację?

– A co jest w menu?

– Niestrawność. – Przewróciła oczami. – Linda gotuje. Ostatnio przyrządza tylko to, co ocieka tłuszczem. Nie mam serca powiedzieć jej, żeby przestała.

– Pycha. – Chwyciłem dłoń mamy i złożyłem na niej pocałunek. – Przyjadę, obiecuję.

– Nie idziesz jeszcze? – Przewiesiła przez ramię torebkę na cienkim, złotym łańcuszku.

– Nie. Zostanę tu jeszcze trochę. Potem zajrzę na grób dziadka.

– Dobry z ciebie dzieciak, Masonie. Najlepszy.



W firmie od samego rana panował chaos, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie – to cisza była dla mnie zatrważająca i nieznośna. Wszyscy uwijali się jak w ukropie, Oliver wrzeszczał do telefonu, a ojciec ulotnił się pod pretekstem wizyty u lekarza. Kłamał. Odbył ją wczoraj, ale mój brat był zbyt roztargniony, by zauważać coś takiego.

– Mason... – Samantha zjrzała do mojego gabinetu. – Zamówić ci lunch?

Zerknąłem na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziłem, że faktycznie, pora coś zjeść.

– Jesteś aniołem. Chętnie coś przekąszę. Czy nietaktem będzie, jeśli poproszę cię, byś została moim talerzem?

Kobieta zachichotała, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Od dawna się we mnie podkochiwała, ale nie chciałem psuć atmosfery w firmie, gdyby nam nie wyszło, dlatego ograniczyłem się do niewinnego flirtu.

– Tak. Myślę, że to mogłoby zostać uznane za nietakt.

Westchnąłem teatralnie.

– Pieprzone konwenanse. Niech żyją hedonizm i bohema!

Gdy Samanta się oddaliła, przeciągnąłem się i sięgnąłem po zimną już kawę. Nie zdążyłem się napić, bo w progu pojawił się Oliver. Całkiem możliwe, że z jego uszu buchał dym, a nozdrza falowały pod wpływem ciężkiego oddechu.

– Musisz jechać do... – przerwał, marszcząc brwi. – Co ty masz na sobie?

Spojrzałem w dół. Możliwe, że faktycznie trochę przesadziłem z tą koszulą w kwiaty, ale na swoje usprawiedliwienie dodam, że światło w mojej garderobie przestało działać, a ja naprawdę się spieszyłem.

– O co ci chodzi? – Wyszczrzyłem się. – Nie lubisz kwiatów?

Oliver podszedł do biurka i usiadł na fotelu.

– Nie mam ochoty wysłuchiwać twojego pieprzenia. Musisz pojechać na Manhattan. Bellevue Hospital. Twierdzą, że jest jakiś wyciek danych.

– To prośba?

– Polecenie służbowe. – Przetarł dłonią twarz. Zdecydowanie nie miał ochoty na żarty. – Po prostu tam jedź, Mason. Nikt inny tego nie załatwi.

– Auć! – Skrzywiłem się.

– Co?

– Zdaje się, że właśnie wchodzisz mi w tyłek.

– Mason. Jedź. Tam. Do. Kurwy. Nędzy.

– Nie użyłeś lubrykantu – stwierdziłem poważnie, odchylając się w fotelu. Granie mu na nerwach należało do jednej z wielu przyjemności w moim życiu.

– Lubryk... – Nie dokończył, a po chwili między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Najwyraźniej właśnie dotarło do niego, co miałem na myśli. Przymknął na moment powieki i wziął głęboki oddech, a potem powiedział: – Proszę, pojedź do tego cholernego szpitala i to załatw.

– Ha! – Wycełowałem w niego długopisem. – Widzisz? Wślizgnąłeś się niemal niepostrzeżenie.

Oliver natychmiast wstał i wybiegł z mojego gabinetu, mamrocząc coś o chorobach psychicznych w rodzinie i o konieczności badań. Nie byłem chory. Byłem obrzydliwie zdrowy i świadomy tego, co mnie otaczało.

Zgodnie z wymuszoną prośbą brata udałem się na Manhattan w towarzystwie naszych dwóch najlepszych informatyków. Wpuszczono nas wejściem dla personelu i wręczono przepustki.

W biurze dyrektora spędziliśmy ponad godzinę, mimo że nasi pracownicy zlokalizowali problem w ciągu kilku minut. Gdy miałem pewność, że sytuacja jest opanowana, udałem się na spotkanie z zarządem szpitala, by wytłumaczyć, co dokładnie się wydarzyło i przede wszystkim – dlaczego. Początkowe przerażenie przeszło jednak w westchnienie ulgi, gdy zapewniłem, że żaden wyciek nie miał miejsca, a to, co uznali za włamanie, było jedynie nietypowym ruchem sieciowym. Musiałem jednak naświetlić nasze działania krok po kroku i obiecać przesłanie w ciągu kilku dni pełnego audytu bezpieczeństwa.

Wróciłem do firmy dwie godziny później. W gabinecie czekał na mnie zimny lunch wraz z niedopitą kawą. I Oliver. Siedział przy biurku i wyglądał na zdecydowanie bardziej zrelaksowanego niż wcześniej.

– Udało ci się – stwierdził.

– Nie. Zrobiłem to, co do mnie należało, i jak zwykle świetnie sobie poradziłem. Złaź. – Stałem nad nim. – Chcesz wiedzieć, co robiłem, siedząc na tym fotelu?

– Jesteś popieprzony. – Oliver poderwał się z miejsca i z obrzydzeniem otrzepał ciemne spodnie. Tylko resztkami sił powstrzymałem się od ryknięcia śmiechem. – Będziesz na kolacji? Matka się o ciebie martwi.

– Niepotrzebnie. – Rozsiadłem się wygodnie w fotelu. – Mam się świetnie.

– To samo jej powiedziałem. Ale dobrze by było, gdybyś wpadł. Linda się ucieszy, Henry też. Pyta o ciebie. Poza tym mamy wam coś ważnego do powiedzenia.

– Co?

– Dowiesz się, jeśli wpadniesz.

Oliver wyszedł, zostawiając mnie z dziwnym uczuciem niepokoju, którego nie potrafiłem wyjaśnić. Osiadło się na dnie serca i nagle stało się nieznośnie uciążliwe.

Jego słowa nieprzyjemnie huczały mi w głowie przez resztę dnia.



– Mason! – Linda odetchnęła z ulgą, gdy mnie zobaczyła, a chwilę później podbiegł do nas Henry.

– Wujaszek! – krzyknął chłopiec na mój widok. Wciąż staliśmy w progu, a ja w dłoni trzymałem torbę z cukierni, do której wstąpiłem po drodze. Podałem Lindzie pakunek z ciastem, a następnie wziąłem Henry’ego na rękę. – Babcia powiedziała, że jeśli nie przyjdiesz, to sama po ciebie pojedzie.

– Tak? – Zmarszczyłem brwi, kierując się prosto do jadalni. Wszędzie unosił się zapach jedzenia.

– Tak! – Energicznie pokiwał głową. – Ale ja wiedziałem, że nas odwiedzisz. Podobno obiecałeś, a jak ty coś obiecasz, to zawsze dotrzymujesz słowa.

Ku mojemu zaskoczeniu u szczytu stołu nie siedział tata, lecz Oliver. Niby nic wielkiego, ale odkąd sięgałem pamięcią, to miejsce należało albo do dziadka, albo do ojca. Dziś dumnie zajmował je mój brat. Siedział jak król i sączył wino. To dopiero było zaskoczenie, ponieważ nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek pił. Raz. Tak, to był tylko raz, gdy wyszło na jaw, że przez trzy lata wmawiał rodzinie, że Linda go zdradziła.

Zerknął na mnie, a potem na mój różowy sweter i przewrócił oczami.

– Mason – odezwał się ojciec. – W końcu. Byłem pewien, że się nie pojawisz. Matka wylewa przez ciebie łzy.

– Wujaszek zawsze dotrzymuje słowa. – Henry mocniej do mnie przylgnął. – Jest ekstra!

Ojciec i Oliver wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a potem obaj się uśmiechnęli. Nie było w tym nic przyjaznego. Poczuję się, jakbym niespodziewanie znalazł się w miejscu, w którym w ogóle nie powinno mnie być.

Postawiłem Henry’ego na podłodze, a ten od razu pobiegł do kuchni. Swobodnym krokiem podszedłem do barku i nalałem sobie whisky, czując na sobie wzrok zarówno taty, jak i brata, a następnie zająłem miejsce przy stole. Ojciec opowiadał o jakimś jachcie i planach na wakacje, a Oliver słuchał go uważnie, co chwilę wtrącając coś o podróży, którą odbyli z Lindą w ubiegłym roku. Przyglądałem się im z zazdrością i nie mogłem pozbyć się wrażenia, że tam nie pasuję. Do nich, do tej rodziny. Jakbym był kukułczym jajem, którego nie pozbyli się w porę.

Do jadalni weszła matka, dumnie niosąc przed sobą półmisek z mięsem.

– Nie ma gosposi? – spytałem zdziwiony.

– Nie ma – odparła Linda, która podążyła tuż za Isabell. Trzymała w dłoniach miskę z warzywami. – Podczas rodzinnej kolacji jesteśmy tylko my. Poza tym Henry powinien wiedzieć, skąd się bierze posiłek na stole i jak się go przyrządza.

– Kochanie, przecież prosiłem... – Oliver wstał i podszedł do Lindy. Dosłownie wyrwał jej z rąk naczynie, a potem ustawił je na stole i odsunął krzesło, by jego „nieżona” mogła usiąść. W myślach tak właśnie nazywałem Lindę, bo to brzmiało znośniej niż na przykład „ukochana”. „Nieżona” było w porządku.

– Nuda – oznajmiłem w połowie jedzenia. – Co powiecie na roz-bieranego pokera?

Mama się zakrztusiła, ojciec zbladł, a Oliver spojrzał na mnie z politowaniem. Tylko Linda zachichotała i puściła do mnie oko. No i Henry wydawał się zaciekawiony, ale on nie miał pojęcia, na czym polega roz-bierany poker. Nie wiem, dlaczego to zaproponowałem. Chyba uznałem,

że po prostu muszę powiedzieć coś, co wszystkich rozczaruje albo wprawi w konsternację. To trochę jak rodzinna tradycja.

– Myślę, że tym razem mamy coś, co przebijie nawet twoje wygłupy – oznajmił Oliver z wyższością, której u niego szczerze nienawidziłem, a następnie nakrył swoją dłonią dłoń Lindy i ścisnął lekko, jakby tym gestem chciał jej coś przekazać. Oboje wymienili też znaczące uśmiechy.

– Oliver... – Matka odłożyła sztucce i wytarła usta serwetką. Wydawała się odrobinę zaniepokojona.

– Ja czy ty? – szepnęła Linda. – Może ty?

Oliver skinął głową i wstał, po czym uniósł kieliszek z winem.

– Ta kolacja jest wyjątkowa i cieszę się, że jesteśmy tu wszyscy.

Zasalutowałem, co niesamowicie rozbawiło Henry’ego, ale Isabell szybko go uciszyła.

– Tak więc... – Oliver odchrząknął. – Chcieliśmy powiedzieć wam, że wkrótce... – głos mu zadrżał – ...że ja, my... będziemy mieli drugie dziecko.

Szloch matki przeciął chwilową ciszę, która nastąpiła po tym wyznaniu. Natychmiast się wyrwała, by złożyć im gratulacje. Ojciec z dumą poklepał Olivera po plecach, a w jego oczach dostrzegłem łzy. Linda z kolei spojrzała na mnie niepewnie, więc wstałem, opróżniłem szklanekę z alkoholem i podszedłem do niej, szeroko się uśmiechając.

– Nic nie powiesz? – szepnęła, mrugając szybciej niż zwykle, by odgonić łzy. – Nie cieszysz się? – Dotknęła swojego brzucha, który był już lekko zaokrąglony. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ponieważ nosiła obszerniejsze ubrania. Widocznie nie chciała, by ktoś zauważył, nim ogłoszą to oficjalnie.

Wierzchem dłoni musnąłem jej policzek. Ostrożnie i delikatnie, jakby była ze szkła. Dla mnie taka właśnie była. Krucha.

– Maleńka... – szepnąłem i przytuliłem ją do siebie, zaciągając się zapachem jej szamponu i tanich perfum, których używała niezmiennie od lat. Wszystkie dźwięki wokół nagle ucichły. Byliśmy tylko my. – Cieszę się. Ciesz mi wszystko, co sprawia, że na twojej twarzy gości uśmiech. Chcę go widzieć zawsze.

Głośne chrząknięcie Olivera sprawiło, że świat, który dla mnie na moment się zatrzymał, właśnie ruszył. Odsunąłem się od Lindy.

– Tak się cieszę – powiedziała matka, ocierając łzy. – To... Mój Boże, to cud. Znak. Nie wiem nawet, jak to nazwać.

– Nie chcę siostry. – Henry się skrzywił, jakby ktoś właśnie podstawił mu pod nos coś cuchnącego.

– A ja marzę, by to była dziewczynka! – Matka z entuzjazmem klasnęła w dłonie. – Albo najlepiej bliźniaki! Tak!

– Isabell... – Ojciec posłał jej pobłażliwy uśmiech. – Daj już spokój. Synu – zwrócił się do Olivera – jestem dumny. Wiele przeszedłeś, by być w tym miejscu, w którym się znajdujesz.

– Dziękuję, tato. – Oliver ponownie uniósł kieliszek. – Dziś nawet ja musiałem wnieść toast. Lindo... – przełknął ciężko. – Kochanie, dziękuję.

Ich usta się złączyły, a ja – możliwe, że byłem masochistą – nie potrafiłem odwrócić wzroku.

„Kochanie, dziękuję”

„A ja marzę, by to była dziewczynka!”

„Synu, jestem dumny”

„Nic nie powiesz? Nie cieszysz się?”

Podszedłem do barku i dolałem sobie alkoholu. Po namyśle wróciłem na miejsce z całą butelką, a pytające spojrzenia skwitowałem zwięzłym:

– Ktoś musi porządnie to uczcić, mięczaki.

Potem już nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nie żeby mnie to jakoś szczególnie zdziwiło.

Nie zauważyli nawet, jak godzinę później wymknąłem się na zewnątrz i tam zamówiłem taksówkę – uznałem, że prowadzenie auta w takim stanie to nie jest najlepszy pomysł. Nie chciałem dawać Juniorowi złego przykładu.

Gdy odjeżdżałem, ostatni raz spojrzałem w kierunku ogromnego okna. Linda siedziała wtulona w Olivera.

To ja powinienem tam być. To ja powinienem był dać jej kolejne dziecko. Nie on.